

## **178. Sabina Kapuścińska z d. Parulska.**

### **Wspomnienia**

Na podstawie wywiadu z dnia 25 września 2021 roku opracował Dariusz Lazarowski.

Źródło: Polacy, Żydzi, Niemcy Ziemi Sierpeckiej w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej, Praca zbiorowa: Dariusz Lazarowski, Anna Stręciwilk, Krzysztof Stręciwilk, Elżbieta Żendarska, Wydawca: Społeczny Komitet Renowacji Miejsca Pamięci Narodowej w Sierpcu, ul. Wojska Polskiego 28a, Sierpc 2022 rok, s. 327-335.

Przed II wojną mieszkaliśmy w Karlewie. Rodzice Antoni i Marianna Parulscy prowadzili gospodarstwo rolne o powierzchni 30 morgów. Moja najstarsza siostra Kazia rocznik 1915 wyszła za Wojciecha Bacińskiego i mieszkała w sąsiedztwie. Brat Kazik rocznik 1918, brat Janek rocznik 1921 i Jadzia 1923 rocznik, wszyscy troje pracowali na robotach przymusowych. Brat Józef - rocznik 1925, ja - rocznik 1927 i brat Władysław – rocznik 1931, w czasie wojny mieszkaliśmy z rodzicami.

Jak bracia dorośli, to było jesienią 1939 roku postanowiliśmy, że będziemy dom budować. Mieliśmy swój las. Bracia z ojcem poszli do lasu i obalili drzewo. Ale tego drzewa z lasu już nie zdążyliśmy przywieść, bo braci Niemcy na roboty zabrali. Potem zabrali siostrę, to nie miał, kto budować domu.

9 listopada 1939 roku spaliły się nam wszystkie zabudowania i dom i stodoła i obora, wszystko doszczętnie się spaliło, w koszulach tylko żeśmy uciekli. Ogień wyszedł od sąsiadów, co tam mieszkali. Ojciec podnajmował ludzi do remontu budynków, ale do budowy domu żeśmy nie wrócili, tylko szopę wyremontowaliśmy i tam zrobiliśmy mieszkanie. Ze szopy to tylko mury się zostały, bo to były z gliny i kamienia, a wierzch spalił się. Pamiętam ten dzień, bo wtedy z wojny wrócił szwagier Baciński, on był ułanem. Spaliły się również ubrania wojskowe, które szwagier Baciński przyniósł ze sobą.

Ojciec opłacał taki dodatkowy podatek nazywany „fajerkasa”. Po tym spaleniu rodzice poszli do gminy w Szczutowie, żeby coś dali, to dali nam taki wydrukowany arkusz papieru, że wolno nam jeździć po gospodarzach po całej gminie i żebrać, tylko tyle nam dali. To ojciec z matką jeździli i prosili, tata z przodku prosił o coś dla inwentarza słomę, siano. Różnie było, niektórzy chętnie dawali, inni nie dawali nic. To matka jak przyjeżdżała stamtąd to zalewała się łzami mówi Boże kochany, na stare lata nam takie, co trafiło.

Ale byli i tacy jak sąsiedzi Topolewscy, Makowscy, Pawlakowa to przynosili. Mazanowska, co była kierowniczką, można powiedzieć, że tak nas zaopatrzyła, że naprawdę dużo wszystkiego przyniosła, i mąki, i kaszy, i chleba. Na Boże Narodzenie napiekła ciasta i przyniosła. Tak, że byli i

ludzie dobrzy. Najgorsza bieda to była taka, bo nam się i sól też spaliła a ja bez soli nie umiałam jeść. To my używaliśmy soli bydłowej, takiej zielonej. Sól tą Kalinowski Piotr załatwił aż w Chełmie, to przywiózł dla siebie i dla nas. To myśmy tą sól płukali, robiliśmy ją na biało i dopiero soliliśmy. To była tak chyba całą zimę, bo później zrobili już Niemcy w Szczutowie sklep. Sklep był w domu po nauczycielce Romanowskiej. Teraz Gajewscy tam mieszkają i tu można było kupić pół kilo soli, pół kilo cukru, tak, że można już było jakoś żyć.

Żaden z Braci nie był wcielony do wojska i nie brał udziału w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku. Do wojska był wcielony szwagier Wojciech Baciński, brał udział w wojnie, był ułanem a z mojej rodziny to i Jankiewicz Henryk i Parulski Józef. Oni wrócili dość wcześnie, bo 9 listopada 1939 roku.

W październiku 1939 roku brat Kazik i brat Janek dostali pisemne wezwanie, że mają się stawić w Szczutowie na roboty. Jak się wstawili tak ich już ich nie puścili, zabrali ich i wysłali na przymusowe roboty. A za tydzień zrobili łapankę. W środku nocy, ja byłam wtedy przerażona strasznie, bo jak się przebudziłam, to w oknie stoi chyba ze dwóch z karabinami, w drzwi wałą, łoskot wielki, ojciec otworzył. Mojej siostrze Jadzi, która miała 16 lat, każą żeby się szykowała i że z nimi idzie. Mój brat Józef, zerwał się i nie chce jej puścić. Oni wyciągają broń do niego i każą się kłaść na podłozie, no to chłopak się z uląkł, położył i dał spokój. W tą noc zabrali siostrę i pojechali dalej. Nic nie powiedzieli gdzie ją zabierają. Matka dopiero rano poleciała do Szczutowa, żeby się dowiedzieć gdzie ją zabrali. W Szczutowie mieli już dużo złapanych. Chodzili w nocy po budach i kogo się dało to zabierali. Tych ludzi, co ich połapali zawozili na stację w Szczutowie i rozwozili w jakiś sposób. Po tygodniu dowiedzieliśmy się od sołtysa, że zostali przydzieleni do gospodarzy. Te łapanki, co jakiś czas się powtarzały, na pewno było ich kilkanaście. Zawsze były nocą. Jak się człowiek obudził to było słychać już tego złapali, już tamtego.

Najstarszy brat Kazik trafił bardzo źle. Trafił do dużego gospodarza, pod Malborkiem, w okolicach Starego Pola. Razem z nim pracowało jeszcze trzech ruskich. Wyżywienie było bardzo złe. Brat opowiadał, że 19 grudnia to jeszcze musiał orać ziemię. Zimno było, deszcz padał, ale trzeba było robić. Jak wrócił z pola taki przemoknięty i zmarznięty, napalił dobrze w piecu węglem, otworzył piec i się tam zaczął suszyć. I mówił, żeby nie przyszli do niego koledzy to pewnie by wtedy odjechał, bo by się zagazował. Niemiec szybko do szpitala i tam go odratowali, ale chyba sobie tym zaszkodził, bo tak krótko żył.

Kazik wrócił z robót do domu 4 kwietnia 1945 roku, ale mówił, że Niemcy nie chcieli go puścić, jak uciekali to musiał z nimi jechać. W okolicy Kościerzyny spotkali front ruski, tam się uwolnił i wracał do domu. Był blisko ławy, to tam spotkał wojsko rosyjskie, to była taka hołota. Mój brat opowiadał, że z ruskami to trudno było się dogadać, zachowywali się jak dzicz i zawsze było zachłani. Na Niemców byli strasznie zawzięci. Kazik był blondynem, był brudny, nieogolony, jak to w drodze. Te ruski wzięli go za Niemca i na stronę i będą go rozstrzelać. To mówił, że już ducha na

ramieniu miał, myślał, że nie da rady, żeby nie wyszedł ten starszy porucznik to pewnie by też nie wrócił.

A Janek trafił do takiego starego Niemca i Niemki, co mieli tylko jednego syna i on był na wojnie, to Niemcy go tak traktowali jak by ich był. Miał dobrze, nie narzekał. Byli bardzo uczciwi i sprawiedliwi. Janek to wrócił wcześniej, chyba zaraz w styczniu 1945 roku.

Ja do nich pisałam listy, bo tam mama słabo pisała. Ja pisałam i adresowałam i te listy dochodziły i to było wszystko dobrze.

Jadzia trafiła za pierwszym razem na roboty ok. 12 km od Ławy do miejscowości Bagno (wtedy to się nazywało Sumpf). Moja mama była taka odważna, raz pojechała do niej koleją ze stacji w Szczutowie, to mówiła jak szła, dopytała się ludzi i trafiła. Mojej siostrze u tego gospodarza było bardzo ciężko. Skarżyła się, musiała cały inwentarz oprzątać, krowy, świnie. A w zimę jak oporządziła inwentarz, to musiała śnieg z podwórka wynosić. Miała takie przygotowane nosidło z dwoma wiadrami i w tych wiadrach na plecach ten śnieg odnosiła. Tam pracowała chyba ze dwa lata, a dopiero na Boże Narodzenie dostała przepustkę i przyjechała na święta.

Tam na robotach poznała przyszłego szwagra, Stasia Mazurowskiego, przyjechali razem i postanowili, że nie wrócą tam z powrotem i będą się ukrywać. Stasiu ukrywał się u swoich rodziców, Jadzia u nas. A te ukrywanie to dla nas było ciężarem. W zimę ukrywała się u nas w domu pod podłogą. Ojciec zrobił jej takie tam spanie. Całą deskę odrywaliśmy. Jak ktoś krzyknął, że Niemcy jadą po spisie, to starszy brat Józef zamykał tą deskę a ja szufladę od stołu łoskot robiłam. Zdążyliśmy schować tą siostrę a ty Niemcy wpadają do domu i pytają, co to za łoskot a ja jeszcze raz otwieram szufladę i mówię, że mamy taki stół i tak się otwiera ciężko. No i na tym się skończyło. A jak przyszło lato to znowuż Jadzia miała wykopaną w naszym lesie ziemiankę. Taką wyfaszynowaną obłożoną mchem. Mój brat Józef wpadł na taki pomysł, aby drzewko tam wsadzić, zawsze było świeże i mchem obłożone. Nad tą ziemianką to całe lato tam przepracowali. W tej ziemiance to się później ze Stachem razem ukrywali, bo mówił, że żandarmi często przychodzą do jego rodziców po podwody i strach tam było się ukrywać. U nas było trochę spokojniej. Czasami przychodzili pomagać nam w polu, Jadzia kartofle z nami sadiła, potem je kopała, robiła przy żniwach.

Ale później zrobiło się bardzo ciężko. To było jeszcze dobrze, dokąd nie zjechało gestapo. Jak gestapo zjechało to nasze strony były takie niespokojne. Zaczęli ludzi zabijać masowo, już tego zabili, już tego zabili. Wyszedł taki rozkaz, że jak się kto ukrywa, żeby się stawili dobrowolnie to wszystko będzie darowane, a jeśli złapią to zostanie matka zabita, jeśli ukrywała się córka, a jeśli syn to ojciec. Bali się okropnie, że Polacy Niemcom doniosą, gdzie się ukrywają i mówią nie ma co, trzeba się ujawnić. No i stawili się oboje. To jak się ona już stawiała, to sołtys Plit jak przyjechał po spisie to do matki mówił, on się zastanawiał jak mogła się ukrywać tak długo, że on nie wiedział. Przecież on tak tu często bywał. On by nigdy nie powiedział, że u nas się ktoś ukrywał.

Narzeczonego Jadzi - Stasiek Mazurowski trafił na roboty gdzieś za Brodnicę. Siostra trafiła na roboty do Zakrocza pod Rypinem. Trafiła do Polaka, on był Eingedeutsche (Angedojczem) i nazywał się chyba Maliszewski, był leśniczym. Ta leśniczowa była taka delikatna, że ona w ogóle nic nie robiła tylko opierała się na służącej. Zawsze się ładnie ubierała i gościła się.

U tych leśników to miała dobrze. Tam tylko sprzątała w domu, gotowała i oprzątała jednego świniaka, którego dla siebie chowali. Jeszcze i parobka i służącą mieli. A dlatego o tym opowiadam, bo jak moja siostra chciała przyjechać do domu, bo jej się tam przykrzyło, to ja byłam już taka dziewczuszka, mówi to byś mnie zastąpiła a tam wcale dużo roboty nie ma, a oni pojechali gdzieś do rodziny na gościnę to byś tylko tego świniaka dojrzała, a mówi, że parobek tam jest, to co potrzeba to i zrobi. No i pojechałam tam do niej.

Jak mama usłyszała, że ruski już są blisko, to po Jadzię poszła do Zakrocza. Zebrała się o drugiej w nocy, pomimo że to mróz był taki jak nie wiem, kazała mi tylko w piecu palić i mówi idę po nią, bo aby nic jej się nie stało i poszła do tego Zakrocza. Szła przez Słupię, Skudzawy i okrężnymi drogami, bo szosy się bała. Ale jak raz leśniczy szykowali się do wyjazdu, pomimo że byli to Polacy, to też chcieli uciekać. No i szczęśliwie przyszły z powrotem. Ale mróz był taki, że śnieg był tak zmarznięty, to ja po tym śniegu chodziłam po wierzchu.

We Woli był majątek żydowski, był tam taki dworek i duże zabudowania gospodarskie. Zarządcą tego majątku przed wojną był Zbrzeski. Ten żyd nazywał się Mync, a dlatego go dobrze znam, bo on tu jeszcze na Słupi miał ziemię, i na tej Słupi sobie torf kopał. Koło naszego domu droga była i zawsze tędy jeździł z tym torfem. Ja się nieraz zainteresowałam i pytałam ojca, kto to tak jeździ, „a to ten żyd, on tam torf sobie kopie i suszy” odpowiadał. Taki był starszy człowiek. Jak później tego żyda zabili, to nastał taki młody dziedzic, chyba się nazywał Fendryszak, to był młody Niemczak, kawaler, ale taki pies, co tydzień zaglądał wszystkim do stodoły, do obory, nie wolno było dać ziarenka koniom, sobie zemleć.

W czasie wojny Niemcy organizowali takie trójki, które chodziły po gospodarzach i sprawdzały, czy nie karmi się inwentarza zbożem. We Woli był taki Wiśniewiak, tych Wiśniewskich było dużo, to on chodził z Niemcem. Kiedyś przyprowadził Niemca do nas, bo my dwa konie chowaliśmy, to czym prędzej szukał w tokach zboża, no ale nie znalazł, bo ojciec bał się i nie dawał zboża. Ludzie się tego Wiśniewiaka bali. Bali się przy nim rozmawiać.

Jak ktoś chciał robić w majątku we Woli, to nie wysyłali go na roboty i tutaj mógł pracować. Wszystkie roboty w polu robili Polacy. No i tak trafiło, że od sąsiadów Wiercińskich trzech tam w tym majątku pracowało. A zazdrość ich brała, że od nas nikt tam nie chodził, ale u nas nie było komu tak ciężko w polu pracować. Jak się wszystko spaliło, to rodzice tak podali, że byłam o rok młodsza niż faktycznie i tak było przez całą wojnę. Ponieważ byłam mała i według metryki dużo młodsza, to i na roboty mnie nie zabrali, no i mi tak uszło. Bo na te roboty to i starszych dzieciaków brali. Ale później to i my musieliśmy chodzić do roboty. Do Woli to brat Józef od nas chodził. Jak było grabienie siana

nad Skrwą, tam aż za Gorzeń pod Czarnią zegnali wtedy nas do tego cięcia z 50 osób. Nakazali szarwarkiem i trzeba było wszystko robić. Chłopy cięli a kobiety musiały rozwalać ściętą trawę żeby schło. To było ze trzy razy tak. A później jak przyszło sadzenie, trzeba było iść do sadzenia. Ja tak samo jak inni chodziłam do pracy.

Na Woli było dwóch Niemców. Był taki Niemiec Czarnecki co u Piątkowskich mieszkał, on należał do tych czarnych, bo zawsze latał na czarno ubrany ze skarbonką. Co tydzień jakby zapisał był w domu i trzeba było zawsze w skarbonkę dać. Mama zawsze taka była, że dla niego te parę groszy zawsze miała do tej skarbonki, bo jak dostali to zaraz sobie poszli i dalej nie weszli.

Na Gorzeniu mieszkał sołtys, nazywał się Plit. On miał pod sobą dwie wsie Wolę i Gorzeń, to było jedno sołectwo. Ten Niemiec osiedlił się w domu u Watkowskich. Plit chodził w takim granatowym, czarnym mundurze, to chyba było SS, bo byli i w tych żółtych ubraniach. Niemcy, co w Polsce mieszkali, to wybierali najlepsze gospodarstwa, jeśli było gospodarstwo mniejsze, to łączyli dwa w jednej wiosce. No i ten Plit wziął sobie dwa gospodarstwa Jeżewskiego i Watkowskiego i je połączył, a ta ziemia Watkowskiego aż pod Borkiem była. To jak do kopania kartofli poszliśmy, to na tej górcie kartofle się tak obrodziły, że co krok kosz pełen kartofli był i trzeba było z nim uciekać. Na polu trzeba już było być o siódmej, to taka Genia i Serwena, które prowadziły ludzi na pole, to zawsze były na tym polu pierwsze, tak miały przykazane.

Niemcy w czasie wojny każdemu z gospodarzy naznaczyli kontyngent. Ojciec miał 30 morgów ziemi (16 hektarów), to ten kontyngent to był taki duży, i ziemniaki, i żyto, że jak się im odstawiło, to trzeba było po prostu głodować. Szwagier Kazik Baciński, jak się jakoś nie wywiązał, to zabrali go do Rypina i trzymali go cały tydzień, aż żona sprzedała krowę i załatwiła to co potrzeba, to dopiero go puścili. Kontyngent był na wszystko, na jajka kurze również i trzeba było te jajka oddać Niemcom.

Było raz takie zdarzenie, za stodołą tarliśmy len. Siostra Jadzia, co się wtedy ukrywała, z nami robiła przy tym lnie, patrzymy, a drogą od strony krzyża od Makowskich, co teraz Szczerbiaki tam mieszkają, jedzie cały korowód Niemców, na motocyklach, aż ich czarno było. Tam na górkach był taki dość duży lasek. Powyganiali wszystkich chłopów, mojego ojca też i popędzili do tego lasku. Obstawili tymi chłopami ten lasek, a sami naokoło tego lasku, tak gęsto, że nikt żywy z tego lasu nie wyszedłby. U nas taki strach, patrzymy, jeden Niemiec, jak raz ten Hejna, co go tak nazywałam, wykręca i jedzie prosto na nas, a my przy tym lnie, kobiet jest kilka, Jadwiga między nami też, a on nie do starszych i do nas dzieciaków, ale prosto do niej się kieruje i pyta się czy nie widzieliśmy partyzantów, czy tu ktoś nie szedł. Jadzia powiedziała, że od samego rana tu robimy, nikogo nie było widać i nikt tędy nie przechodził. My to potwierdziłyśmy. Chyba uwierzył, bo wsiadł na motor i pojechał do Niemców. W tym lasku nikogo nie znaleźli.

Potem się wydało, że Makowskiej, tej co pod krzyżem mieszkała pokradli jajka, i ona poszła i to zameldowała, że niby to partyzanci jej jajka zabrali. Nie miała do oddania tych jajek na kontyngent

i tak zgłosiła i narobiła takiego kłopotu. Boże, ile my wszyscy się strachu najedliśmy, a Jadzia, co ona przeżyła, to tylko sama wie.

Jeszcze o tym kontyngencie na jajka. Jak wypadła choroba na te kury, był pomór i wszystko pozdychało czy było trzydzieści czy było pięćdziesiąt to wszystkie zdychały. U mojego stryja był pomór i tylko kilka kur pozostało, to stryj wszystkie te kury pozabijał, i mówi, nie ma kur to i kontyngentu nie będzie. No i mu ten kontyngent umorzyli.

Niemcy często robili spisy. Sprawdzali w szopie cały inwentarz. Często robił spis sołtys Plit, czasami inni Niemcy przyjeżdżali po spisie. Jak raz zajechali Niemcy na spis, było ich chyba z pięciu, był Niemiec z Brysk, jeden z Guguł, ze Słupi Hersberg, to oni nie raz taki objazd robili po całym terenie. Józef kupił skrzypce i chciał się trochę uczyć. Te skrzypce wisiały na ścianie. Jak wpadli i je zobaczyli to mówią „o i grajek tu jest” a ojciec mówi, że tam się syn trochę uczy a córka to trochę i śpiewa. Oni byli już podpici to zachcieli abym zaśpiewała. To musiałam śpiewać po niemiecku. Spodobało się im, że po niemiecku się śpiewa, podziękowali, pochwalili, ale ten spis przeszedł ładnie, bo nie byli ani w szopie, ani w stodole tylko tyle, co w domu i zabrali się i pojechali. Jak później mówili, to u sąsiadów to i w szopie i w stodole byli, oglądali i bydlaki, ich wszystko interesowało, Z Niemcami trzeba było tak robić. Jak co chcieli i to dostali to pojechali i był spokój. Nie było można się im sprzeciwiać.

Ja byłam za młoda, żeby mnie wywieźli na roboty, to musiałam raz w tygodniu chodzić na szkołę niemiecką. Ta szkoła była we Woli. Brat Józef już chodził do pracy, a Władek by za młody. Nauczycielem w tej szkole był sołtys Plit. W tej szkole to dziewczyn było ze dwadzieścia. Była taka Mazurowska, panna taka trochę starsza ode mnie, była Lodzia Pietrzak, Lucyna Pietrzak. W tej szkole dostaliśmy takie książeczki niemieckie, ja jakoś do niemieckiego to miałam talent, że sobie jakoś radziłam i jak przyszło do czytania to te starsze dziewczyny nie umiały przeczytać a jak trafiło na mnie to przeczytałam to mu się spodobało, że już umiem. On miał na mnie takie oko, że jak było coś przeczytać to kazał mnie czytać. W tej szkole to uczyli nas piosenek niemieckich a nawet i polskich takich łobuzerskich, niektóre to jeszcze pamiętam.

Na wykładanie mchem okopów, co były wykopane w lesie koło Szczutowa to chodziłam dwa razy w tygodniu. Jak raz szłam do roboty, a bryczką jechał sołtys Plit, nadjechał i kazał wsiadać. On mnie zapamiętał, że ja do tej niemieckiej szkoły chodzę. No i chyba tych Sabin u Niemców było dużo, bo i to imię mu się spodobało i je zapamiętał. Basia Wierców szła przede mną to jej nie zabrał. Wołałam iść piechotą niż tam z nim sama siedzieć, ale jak zatrzymał się i kazał wsiadać to trzeba było jechać. Tutaj gdzie była piekarnia, był taki wielki dom po Brzuskich, który Niemcy zajęli, tam był przystanek przed tym domem. Jak wysiadałam z tymi Niemcami, spojrzałam a tam tyle ludzi stoi a ja z Niemcami musze wysiąść, ale co było robić. Tak było kilka razy.

Matka była chora a ja jedna musiałam się nią opiekować, dlatego nie miałam wyznaczonego kontyngentu na jagody i grzyby. Ale sąsiedzi to zbierali nie tylko jagody, ale i grzyby. Wszystkie

grzyby były dobre, byle nie muchomory. Oni je odstawiali chyba na leśniczówkę w Szczutowie, ale dobrze nie pamiętam.

W Szczutowie były dwa sklepy, pierwszy naprzeciwko biura GS-u po nauczycielce Romanowskiej a drugi u Michalskiego, pomiędzy Wacławem Mazurowskim a pocztą. Ja nieraz chodziłam do tego sklepu po sprawunki. Tam taki chleb piekli, bo nie wolno było żyta mielić na mąkę tylko oni dawali taki przydział na każdy tydzień, na każdą osobę było wyliczone ile się należało. Jak się pojechało, to trzeba było worek wziąć do tego chleba a ten chleb to był taki zrobiony, ja nie wiem czy dodawali kasztanów czy czegoś jeszcze, bo on był gorzki, tak brązowo wyglądał. No, ale trzeba było wykupić, bo jak ktoś nie wykupił to potem nie dostał. Ja często przychodziłam do sklepu, to w tym sklepie trzeba było mówić po niemiecku, jak się nazywa chleb, wszystko po niemiecku. Jakiem chciała buty, to też trzeba było powiedzieć po niemiecku. Tam sprzedawał stary Marcinkowski, to był człowiek dobry, że jak zobaczył Polaka to on tam jak mógł to go tam ratował. Tam też był taki połamany młody Niemiec, chyba się nazywał Cetliga, miał takie porażenia jak od choroby Heinego-Medina, on był urzędnikiem. Latał on z takim pejczem, jak mu się coś nie podobało albo nie dostosowało do tego co chciał, to zaraz można było nim dostać.

Jeszcze przed wojną chodziłam do szkoły w Szczutowie, to chłopacy mnie nauczyli chodzić po lodzie, to się nie bałam. Jak raz wracałam z zakupami przez to jezioro, to z naprzeciwka przez to jezioro na rowerze jechał żandarm Hejna, bardzo dobrze go znałam. Jedzie i tak sobie pogwizduje no i wywalił się, rower na jedną stronę on na drugą, a ja się zaczęłam śmiać. A on do mnie, a co się tak śmiejesz, ale na szczęście nic mi nie zrobił.

Michalski z tyłu domu miał pokój i tam zrobił dla Niemców gospodę. Żandarmeria zawsze miała uczty, głośno tam było, pili, bawili się, jego córka Halinka ich tam obsługiwała. Michalski był Eingedeutsche (Angedojczem), był taki oddany Niemcom i nie specjalnie zachowywał się w stosunku do ludności polskiej, on służył im tak jak chcieli. Michalska odwrotnie, ona zachowywała się tak jak powinna. Jak Rosjanie weszli do Szczutowa, to tego Michalskiego chcieli rozstrzelać, ale sąsiedzi uprosili ruskich i jakoś go wybronili.

Jak Rosjanie weszli w styczniu 1945 roku to zaraz Lejmana ze Słupi rozstrzelili pierwszego. On też współpracował z Niemcami. Tam bez żadnej ceregieli, od razu go wyprowadzili nad jezioro i bez sądu kula w łeb. I tak, że tam i te dziewczyny nie zostały zabite.

To było ciężkie życie, trzeba było się wszystkiego bać, można było powiedzieć słowo za dużo i można było sobie i innym zaszkodzić. A to jeszcze, że nie byli Niemcy gdzieś tam z Niemiec, ale to byli Niemcy tutejsi, którzy znali Polaków. Tak jak rodzice opowiadali, to w czasie spokoju to te Niemcy byli przyjemne i użyteczne, a później to się zrobili inni. Całe Białasy i część Guguł tam mieszkali Niemcy. To byli różni i biedni i bogaci. Na Szczechowie to tam, co druga rodzina to byli Niemcy. Tan był taki stary Sztrechel to jak nas wzięli na okopy nad jeziorem Szczutowskim i na tych robotach była Stanisława Majorowska, ona była taka śmieszna, stara panna, dali nam łopaty

musieliśmy brać te faszyny i tak ładnie układać, równiutko. On coś tam zaczął gadać a ona się roześmiała, to tak bez niczego jak ją zdzielił tą łopata, i krzyczał „schnell, schnell” szybko, szybko, to było przy mnie. On mieszkał z Polakami a tak Polaków nienawdził.

Raz zabrali nas koło Wyźlica leśniczówki, musiałyśmy tam jechać i zbierać mech do wykładania okopów. Chłop podjeżdżał w konia a myśmy ten mech musiały ładnie podbierać i układać na furę. Do pilnowania wyznaczili takich młodych żołnierzy w żółtych mundurach. Ci żołnierze to oni całkiem inni byli, niż te nasi krajowi. Przydzielili nam takiego młodego Niemca. Mówił delikatnie, aby tak dalej, abym się nie spieszyli, tylko robiły. Rozmawiał po niemiecku, mówił po polsku jak się nazywa żaba, to mówił wszystko, tak, że dobrze się z nim robiło. A ci krajowi to po prostu na Polaków napadali mocno. To taka była odmiana.

Na Zambrzycy był Niemiec Czarnecki się nazywał, on z dawien dawna tam mieszkał. Wziął za służącego Stacha Paruskiego. Mój kuzyn, brat stryjeczny był ode mnie dwa lata starszy i ten Stasiek nie dopilnował i koń narobił w ten tok, to ten Niemiec napasł tym gównem końskim tego kuzyna, taki był dla niego podły.

Ale i Polaków trzeba się było bać, bo Niemcom donosili. Mój wuj, brat mojej matki, Franciszek Joniak, miał żonę i troje dzieci, parę morgów ziemi, mieszkał na Czarni, tak pod lasem, nazywali to osiną. Nieraz tam chodziłam do nich, bo jagody tam były koło nich ładne. Żeby się wyżywić, to zabijał cichaczem świniaki a przecież tego nie było wolno robić. Do nich po to mięso dość często przychodziła Polka i od niego to mięso brała. Jak się upomniał o pieniądze żeby mu zapłaciła, to poszła i go wydała. Zabrali i do dziś nie wrócił. To tak się stało w mojej rodzinie.

Na Szczechowie mieszkał Tadeusz Sokołowski, Jego brat Kazik mieszkał naprzeciwko nas. On był w porządku. Tadeusz zaczął Niemcom służyć i zaczął Polaków wydawać, to dla Niemców było dobrze. Ale potem jak mu się w głowie pomieszało i zaczął wydawać Niemców to wtedy go zabili. Po akcji partyzantów, co pociąg wykoleili, to wtedy Niemcy nawet mojego kolegę, z którym chodziłam do szkoły Łaszkiewicz Romana, on z Urszulewa pochodził, zabili, bo uznali, że to no był jednym z partyzantów. To był chłopak niewinny. Nie tylko jego samego, ale więcej jeszcze zabili. Zostali rozstrzelani Sokołowski, Fydrychowicz i Radzymiński Antoni. Wszyscy mieszkali na kolonii w Bliznie. Potem pojechali na Grabał i tą Mellerową zabili. W czasie wojny zginął Małachowski, Pulkowski Józef, Pydyszewski z Woli Starej. Pydyszewskiego to podszpiclował Sokołowski Tadeusz. Taka była ludzi opinia.

Niemców, którzy zmarli, przed ale i chyba we wojnę to chowali na cmentarzu w Białasach. W Bliznie mieliśmy swój las i pastwiska, to jak pasłam nieraz z bratem krowy, to było widać jak prowadzili tą drogą, na Białasy swoje ciała. Oni zawsze z muzyką prowadzili na cmentarz. Muzyka grała a korowód jechał. To zapamiętałam. Na tej kolonii Bliznieńskiej mieszkało 3 Niemców. Lawerowa, to była wdowa, Rabke i Wajs. Rabke to był taki porządny, dobry był Niemiec. Mieszkał tam gdzie obecnie gospodarstwo Michewiczów.



W Szczutowie była taka Koza, areszt, mieściła się przy obecnej ulicy Lipowej, pomiędzy obecnym skwerkiem a szkołą. Miała takie małe okienka, tam stosowali surowe kary, to była taka mała szopka, to było okratowane, żeby więzień nie wyszedł, to taka mała buda. Ale kogo tam przetrzymywali to nie wiem.

W starym budynku Urzędu Gminy, naprzeciwko plebanii w jednym szczyście od obecnej ulicy Lipowej był Urząd Gminy a w drugim szczyście była szkoła. Wejście do tej szkoły było od szczytu. Tam stała taka stara jabłoń.

Ale msze w kościele to nie pamiętam żeby były. Jak kobiety przysposabiały dzieciaków do komunii świętej to do Łukomia jeździli. Bo w Łukomiu był ksiądz Jastrzębski i on właśnie udzielał komunii.

W dniu wyzwolenia to Polacy z jednej strony się bardzo cieszyli, bo już wiedzieli, że Niemców już przepędza, ale się ich bardzo bali. Jak ruski do wsi wchodzili, ja jak raz krowy dołłam i słyszę psy u Jankiewiczów szczekają, wyjrzałam a tu ruski lecą, zdążyłam się na hak zamknąć od środka. Przylecieli, szarpiają, ale nie mogą otworzyć, zabluźnili i poszli do chałupy. Mama przestrzegła przed nimi, mówiła jak zobaczysz ruska, to chowaj się. Mówiło się, że jak ruski wejdą, to gwałcą wszystkie kobiety. Ojciec to pamiętał wojnę z bolszewikami, z całego dobytku potrafili ograbić. Opowiadał, że jak szli bolszewicy to ludzie inwentarz po lasach chowali.

Do nas na nocleg przyszło trzech, pomimo, żeśmy mieli taką budkę małą. Tak się powalili, na podłodze spali, a brudne jak nie wiem. W domu zostało trzech, reszta poszła sąsiadów, Wierców, Góreckich. Tam zabrali im konie i sobie podwodę uszykowali. Jak byłam w oborze i się od środka zamknęłam to konie zostały, to poszli do sąsiadów jednych i drugich i im zabrali.

Jak się trochę uspokoiło, to zaczęła się organizować władza ludowa. Porobiły się takie trójki i nakazywali dla ruskich robić podwody. Przyszli do nas, wypędzili Józefa na podwodę gdzieś za Brodnicę, to już było na przymrozkach, jeszcze zima była, bo pojechał sankami a później nie miał, czym przyjechać, bo śnieg zginął. Wrócił tylko na koniu a sanki zostały potłuczone. Takie to były straszne czasy.